

Marek Sołtysik

"Nie zapomniałem o was" : los i czyny Szymona Wiesenthala

Palestra 51/1-2(577-578), 301-308

2006

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MIEJSCE W HISTORII

Marek Sołtysik

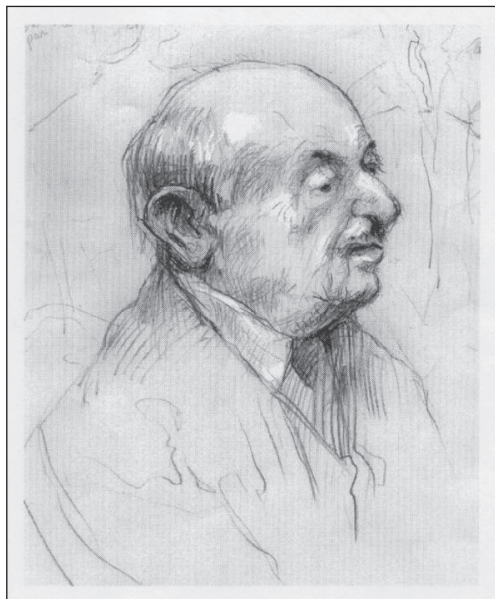
„Nie zapomniałem o was” – los i czyny Szymona Wiesenthala

„Nie zemsta, ale sprawiedliwość” – taka była maksyma Szymona Wiesenthala. Nazywany łowcą nazistów, ten odważny, bezkompromisowy i skuteczny w działaniu człowiek zmarł we śnie 20 września 2005 r. nad ranem w swoim wiedeńskim mieszkaniu, w wieku 97 lat. Przez ostatnie dwa lata chorował, praktycznie wycofał się z czynnego życia, w 2003 r. ogłosił dziennikarzowi austriackiego czasopisma „Format”, że zakończył trwającą pięćdziesiąt sześć lat misję tropienia nazistów. „Udało mi się – powiedział – znaleźć tych morderców, których ściagałem. Wszystkich przeżyłem. Ci, których nie szukałem, są zbyt starzy i chorzy, aby można ich było legalnie skazać”.

Łowca nazistów odpoczywał w zaciszu (jeżeli zaciszem nazwać dzwonki telefonów z pogróżkami i anonimowe listy trafiające do mieszkań o dostępnym powszechnie adresie, w domu dopiero od 1983 r., od bombowego zamachu neonazistów, strzeżonym przez policjanta). I właśnie od czasu usunięcia się w cień założyciela zdarzało się ze zdumieniem czytać o nowych, łagodnie mówiących, kontrowersyjnych inicjatywach Centrum (na przykład o operacji „Ostatnia szansa” polegającej na zachęcaniu do pisania za pieniądze donosów o tych, którzy w okupowanej Polsce donosili do Niemców) firmowanych nazwiskiem Wiesenthala. Tylko firmowanych i aż nazwiskiem! Nazwiskiem Wiesenthala – człowieka, który powtarzał, że „bez moralności i sprawiedliwości nie może być mowy o wolności”.

Kiedy wybuchła II wojna światowa i do Lwowa wkroczyli pierwsi obcy, bolszewicy (w niecałe dwa lata później wkroczą naziści), trzydziestoletni Szymon Wiesenthal w tym pięknym polskim mieście nad Pełtwią właśnie urządził sobie życie. Jego biuro architektoniczne funkcjonowało coraz lepiej, wobec tego aż do września 1939 r. mógł dla nabrania głębszego oddechu iść na spacer z niedawno poślubioną żoną na Wały Hetmańskie, mógł na parę dni pojechać do Krakowa, żeby się spotkać z kolegami, ale i przy okazji zobaczyć, jak wyglądają w praktyce gmachy stawiane w myśl założeń funkcjonalizmu. Do Wiednia już chyba nie. A raczej na pewno nie. Wielka szkoda. Od kilku lat Wiedeń to niby to samo, lecz zupełnie nie takie miasto w jego rodzinnym, ale już zarażonym nazizmem kraju.

Bo Szymon Wiesenthal zawsze powtarzał, że urodził się w Austrii. Przyszedł na świat w 1908 r., 31 grudnia, w Sylwestra, w Buczaczu. W Galicji, w monarchii austro-węgierskiej. Buczacz założono ongi jako miasto polskie, ale wtedy Polska od ponad wieku nie istniała na



Szymon Wiesenthal
19 października 1994 roku przemawia
w Centrum Kultury Żydowskiej w Krakowie.
Rysował z natury Marek Sołtysik

mapach. Buczacz małego Wiesenthala był miastem Polaków, Żydów, Rusinów (czyli Ukraińców) i wszystkich, którzy mieszkali tam od dziada pradziada, a więc Ormian, Tatarów, Niemców. Kiedy po pierwszej wojnie światowej, zwanej wówczas Wielką Wojną, Polska odzyskała niepodległość, liczący siedem tysięcy mieszkańców Buczacz nad rzeką Strypą znalazł się na powrót w granicach Rzeczypospolitej – jako miasto powiatowe w województwie tarnopolskim.

„Żydzi spali spokojnie. Ci, co byli wczoraj w nędzy, wiedzieli, że jutro też będą w nędzy, chyba że na te trzy cyfry, które się im przyśniły, padnie wygrana na loterii państwowej – pisał we wspomnieniach („Kordian, fizyka i ja”, Warszawa 1968) Leopold Infeld, uczony, fizyk-teoretyk, wieloletni współpracownik Einsteina, krakowski rówieśnik Wiesenthala. – Ci, którzy mieli pieniądze w banku, spali spokojnie w przekonaniu, że jutro będą mieli trochę więcej, bo pewni byli, że ich bank nie zbankrutuje”. Infeld, tak jak Wiesenthal, pamiętał dzieciństwo jako bezpieczną krainę cesarsko-królewskiej Austrii, w której wszystko działo się pod opiekuńczym okiem najmiłościwie panującego Franciszka Józefa. Portrety cesarza, uwierzytelniające ten stan rzeczy, wisiały w szkołach, urzędach, w dni świąt w witrynach sklepów i magazynów.

Inna sprawa, że może Infeld w zwykłej szkole wydziałowej w Krakowie, byłej stolicy Polski, z Wawelem, z nekropolią narodową na Skałce, w mieście Matejki, i z pomnikiem Mickiewicza, miał lepszych nauczycieli niż Wiesenthal w swoim mieście z ruinami zamku Potockich, raz, że kresowym, dwa – że tam właśnie, w Buczaczu, w 1672 r. Michał Korybut Wiśniowiecki zawarł haniebną pokój z sultanem tureckim Mahometem IV, w którym Turcji odstąpiono całe Podole i południową część Ukrainy oraz przyznano haracz. Pokój ten nie został wprawdzie zatwierdzony przez Sejm polski, a zwycięstwo Sobieskiego pod Chocimiem w 1673 r. zmyło tę skazę z Polski, ale jednak została jakaś zadra. Czy to z tego powo-

du, czy z innych, Leopold Infeld czuł się zawsze Polakiem Żydem, a Szymon Wiesenthal – Austriakiem Żydem. Architekturę w każdym razie studiował już po rozpadnięciu się monarchii austro-węgierskiej: w Pradze, od roku 1918 stolicy republiki czesko-słowackiej i wreszcie dłużej w niepodległej Polsce, we Lwowie, na Politechnice, gdzie zrobił dyplom.

Wrzesień 1939 r. – II wojna światowa. Po zajęciu Lwowa przez Armię Czerwoną masowo deportowano Polaków. Lwów został włączony do Ukraińskiej SRR. Nagle brutalnie wyrwani z życia, internowani oficerowie i policjanci, działacze samorządowi, ludzie wolnych zawodów ginęli od strzału w tył głowy w Katyniu.

Życie Wiesenthala, jako inteligenta, zostało zagrożone. NKWD zamordował kilku jego krewnych, on sam dzięki łapówce uniknął wywózki na męczeńską śmierć. Śmierć miałby zapewnioną. Nie należał bowiem do tych, którzy mieli dryg do romansowania z każdą nową władzą.

W połowie roku 1941 wkroczyły do Lwowa wojska niemieckie. Nowe „porządki”; w lipcową noc na stokach Kadeckiej Góry Niemcy rozstrzelali przedstawiciele inteligencji polskiej, profesorów Politechniki i Uniwersytetu, m.in. matematyka, wielokrotnego premiera RP Kazimierza Bartla, profesora patologii Jana Greka, najprawdopodobniej Tadeusza Boya-Żeleńskiego, szwagra profesora Greka (choć świadkowie, wyrwani ze snu, obserwujący z oddali ostatnie chwile wywleczonych z domu najbliższych, nie mogli potwierdzić, czy znakomity pisarz i tłumacz dotarł na miejsce straceń).

Lwów włączono do Generalnego Gubernatorstwa. Nastąpiła eksterminacja ludzi pochodzenia żydowskiego. Wiesenthal, aresztowany, wraz z innymi Żydami został zapędzony pod mur na miejsce kaźni. W pewnym momencie – los, Opatrzność, te niemożliwe do zmierzenia przypadki! – Niemcy w mundurach SS zaprzestali rozstrzeliwania. Odroczenie niejako. Wiesenthala wraz z pozostałymi umieszczono w getcie, stamtąd z grupą sprawnych fizycznie mężczyzn z najróżniejszych środowisk został wyprowadzony do obozu pracy. W październiku 1943 r. likwidacja getta. Potem... potem transport do Oświęcimia.

W 1943 roku, jak wielu „niearyjczyków” dzielących jego los, młody architekt usiłował popełnić samobójstwo – zrobić to, co uczyniło wielu ludzi w gettach i w transportach do miejsc straceń. Przeżył jedenaście nazistowskich obozów koncentracyjnych, dwukrotnie w ostatniej chwili uniknął egzekucji. Kiedy 5 maja 1945 roku Amerykanie wyzwolili obóz w Mauthausen, więzień Wiesenthal, ten postawny przed wojną mężczyzna, ważył niespełna 50 kilogramów, słańał się na nogach, ale już wiedział, co będzie robił od tej pory, w trzeciej części życia, jaka została mu dana (oddana?, darowana?): będzie ścigał zbrodniarzy hitlerowskich.

Już w kilka tygodni po oswojeniu Mauthausen sporządził pierwszą listę zbrodniarzy wojennych.

Z zapałem zaczął zbierać dowody na okrucieństwa zbrodni i zbrodniarzy nazistowskich, działając dla Działu Zbrodni Wojennych Armii Stanów Zjednoczonych. Wydobywał się ze straszliwych ciemności. W końcu roku 1945 znów blask szczęśliwej gwiazdy: spełniło się jego najskrytsze marzenie, wydawałoby się – nieziszczalne: ponownie spotkał się ze swoją żoną! Ukrywali ją Polacy, w Polsce pod okupacją nazistów. Narażali się w każdej sekundzie. Z rozkazu okupanta bowiem groziła im za to śmierć. I żona, i mąż – rozdzieleni zupełnie przez cały czas wojny – mogli teraz tylko szaleć z radości. W 1946 r. przyszła na świat ich córka Paulina.

W 1947 roku szczęśliwy ojciec założył w Linzu (od 1961 r. prowadził je w Wiedniu) Żydowskie Centrum Dokumentacji, którego celem pozostaje do dziś zachowanie pamięci

o zbrodniach dokonanych na narodzie żydowskim oraz ściganie winnych tych zbrodni. W ciągu pięćdziesięciu sześciu lat Ośrodek Ścigania Zbrodni Hitlerowskich wytropił i postawił przed sądami 3 tysiące nazistów. W kartotece organizacji znajduje się dokumentacja zbrodniczych działań 160 tys. przestępców wojennych.

Najbardziej widocznym i gdyby nie funebralna otoczka, można byłoby powiedzieć, spektakularnym osiągnięciem Wiesenthala było sensacyjne wręcz wytropienie w Buenos Aires w 1960 roku głównego organizatora Endlösung – „rozwiązania kwestii żydowskiej”, oficera SS – Adolfa Eichmanna, osądzonego następnie w Izraelu i skazanego na najwyższy wymiar kary. „Nie ma ani jednej żydowskiej rodziny, z której nie zginąłby ktoś posłany na śmierć przez Eichmanna” – podkreślał, ale uważał, że kara śmierci, jaką wymierzył sąd Eichmannowi, nie jest właściwa. – „Zawsze byłem przeciwko karze śmierci – przypominał podczas pobytu w Polsce – i nadal uważam, że najcięższą karą jest dożywotnie więzienie. Kara bowiem powinna być pełna. Ludzie, którzy długo siedzą w więzieniu, są najlepszą propagandą przeciwko zbrodni. Kara śmierci to jest moment, natomiast pokuta powinna trwać dłużej”.

Działalność Żydowskiego Centrum Dokumentacji przyczyniła się do postawienia przed sądem ponad 1100 zbrodniarzy nazistowskich. Znaleźli się wśród nich tacy okrutnicy jak Franz Stangl, komendant obozów koncentracyjnych w Treblince i Sobiborze. „Odnalazłem go w Brazylii – mówił Wiesenthal – ale wiedziałem, że absolutnie mi go nie wydadzą. Bo to zbrodniarz polityczny, nie kryminalny. Wtedy bardzo mi pomógł Robert Kennedy, brat prezydenta, nadzwyczajny człowiek. Podczas procesu Stangla uświadomiłem sobie, że w swoim życiu mógłbym niczego więcej nie zrobić, tylko postawić przed sądem tego człowieka odpowiedzialnego za śmierć siedmiuset tysięcy ludzi – a i tak nie żyłbym na darmo”.

Wiesenthal zazwyczaj kierował akcją zza biurka swojego gabinetu w trzypokojowym wiedeńskim mieszkaniu, w którym gromadził dokumentację – i kiedy wydawał dyspozycje, robił to w sposób, w którym zespoliły się przeciwieństwa: niezwykle połączenie pedanterii i wyglądająca niekiedy na szaleństwo determinacja, idąca krok w krok za wyostrzoną intuicją. Dzięki takim poszukiwaniom został pojmany i stanął przed sądem także Karl Silberbauer, gestapowiec, który aresztował czternastoletnią Annę Frank (przyznał się podczas procesu i w ten sposób zostało udowodnione, że „Dziennik Anny Frank” nie jest jakimś propagandowym palimpsestem, lecz wstrząsającym autentykiem), stanęła i została osądzona Hermine Braunsteiner, sadystyczna strażniczka z Majdanka odpowiedzialna za śmierć kilkuset dzieci.

„Szymon Wiesenthal był sumieniem holokaustu. Kiedy holokaust skończył się w 1945 roku i cały świat powrócił do domu, aby zapomnieć, on jeden pamiętał. On nie zapomniał” – powiedział rabin Marwin Hier, dziekan i członek-założyciel Centrum Szymona Wiesenthala.

Zawsze występował przeciwko neonazizmowi i rasizmowi. Był głosem 6 milionów Żydów, ofiar holokaustu. Sam stracił w czasie II wojny światowej 89 krewnych.

Jubiler, były więzień Mathausen, zapytał go po latach, dlaczego zaraz po wojnie odsunął myśli o fortunie i sławie, zarzucając zawód architekta. Wiesenthal odrzekł:

– „Jestem wierzącym człowiekiem. Gdy znajdziemy się na tamtym świecie, spotkamy miliony Żydów zamordowanych w obozach. Spytają nas, czego dokonaliśmy? Ty odpowiesz: Zostałem jubilerem. Ktoś inny powie, że budował domy. Ja zaś odpowiem: Nie zapomniałem o was”.

Myślę, że była to pierwsza po wojnie wizyta Szymona Wiesenthala w Polsce. 19 paź-

dziennika 1994 r. na zaproszenie m.in. profesora Józefa Andrzeja Gierowskiego, twórcy i wieloletniego kierownika Międzywydziałowego Zakładu Historii i Kultury Żydów w Polsce, przekształconego w Katedrę Judaistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, gościł on w Centrum Kultury Żydowskiej na krakowskim Kazimierzu, w odrestaurowanej i przystosowanej do europejskich wymogów wystawienniczych, estradowych i ze świetnym zapleczem recepcyjnym, dawnej modlitewni przy ulicy Rabina Meiselsa. Właśnie – zdaniem niedawno zmarłego doktora Rafaela Feliksa Scharfa – w tym magicznym, jedynym w Europie miejscu, gdzie ulica Rabina Meiselsa styka się z ulicą Bożego Ciała.

(To prawda z tym magicznym stykiem, będącym wyrazem symbiozy, ale kiedy wykładowca uniwersytetów brytyjskich mieszkał jeszcze jako Felek Scharf, uczeń gimnazjum na Kazimierzu, dwa kroki od tego miejsca, ulica Meiselsa dopiero od niedawna otrzymała swą nazwę: w roku 1914 nazywała się jeszcze Miedzuch. Co może świadczyć tylko na korzyść ciągłości tolerancji krakowskiego samorządu w dwudziestoleciu międzywojennym, kiedy w Rzeczypospolitej już nie można było lekceważyć ekscesów antysemickich, owych *numerus clausus*, *gett ławkowych*, nawet na terenach dawnej Galicji, na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, kiedy jednak w obronie kolegów Polaków Żydów stawali, i bywali przez bojówkarzy spod znaku mieczyka pobici Polacy, nieliczni, ale własną pierś nadstawiający za kolegów prawem kaduka pozbawianych możliwości spokojnego słuchania wykładów.)

Z górą pół wieku na tej ziemi, w Krakowie na Kazimierzu, Szymon Wiesenthal zapanował nad zebranymi w wielkiej sali dawnej żydowskiej modlitewni. Trzymał tłumy przybyłych w uważnym napięciu i nie wiadomo kiedy upłynęły dwie godziny jego opowieści, w której mieściło się wszystko, co powyżej i poniżej, wraz z frapującymi szczegółami, będącymi materiałem do przemyśleń dla pisarza, dla filozofa, dla socjologa...

Stałem przez cały ten czas niewiele ponad półtora metra od jego prawego profilu. Rysowałem Wiesenthala. Wiedziałem, że wyrzuciłbym sobie niewykorzystanie tego momentu w życiu. Poszły w kąt skrupuły. Reprezentowałem jedną z lokalnych gazet jako sprawozdawca kulturalny, wykonywałem swoje zadanie: dostarczyć informację o spotkaniu, żeby było na jutro i żeby nie spóźnić się przed innymi dziennikami. W oczach obserwujących byłem dziennikarzem, który robi notatki. A potem... potem na Wiesenthala (co było do przewidzenia) rzuciły się tłumy, w kolejce ustawiły się postacie tak ważne, że nie widziałem dla siebie cienia szansy na uściśnienie dłoni łowcy nazistów. Zresztą po robocie rysowniczej byłem wyczerpany. Późno; trzeba było gnać do redakcji. Kiedy wieczorem kończyłem pisać „informację własną” o spotkaniu, redaktor wydania zauważył rysunek. Profil Wiesenthala został zeskanowany, miał iść do druku, gdyby nie czyjaś nagła ostateczna decyzja, motywowana niespodzianie stwierdzonym brakiem miejsca na pierwszej i drugiej kolumnie. Zmieścił się tylko tekst. I to krótki.

Książka, o której mówił w Krakowie, była wówczas w Polsce znana tylko garstce nielicznych. Pod tytułem „Die Sonnenblume” (copyright by Simon Wiesenthal) ukazała się ona w języku niemieckim w roku 1969, potem w wersji angielskiej w Stanach Zjednoczonych. Polski przekład dotarł do czytelników w roku 2000 jako wydana przez PIW pozycja: Szymon Wiesenthal, *Słonecznik, opowieść i komentarze* – w przekładzie Magdaleny Kurkowskiej i Katarzyny Sendeckiej. Czytelnik polski otrzymał świetną prozę Wiesenthala i wybór komentarzy (z wydań niemieckiego i amerykańskiego, z nowym dodatkiem głosów polskich) o tym przejmującym tekście, który jest miejscem na refleksję.

Myślę, że musiał zostać napisany. I został. Nie po to, żeby olśnić wytwornością stylu, lapidarnością trafnych opisów, nie po to, żeby zatrwożyć czytelnika grozą faktów, świade-

ctwem wydanym przez tego, który przeżył. Autor tę rzecz nosił w sobie przez ćwierć wieku, wystarczająco długo, żeby w końcu podjął decyzję o spisaniu i opublikowaniu tekstu. Jako że nie był zawodowym pisarzem, można mniemać, że dodatkowym dylematem było dlań przeznaczenie do druku nadzwyczaj osobistego wyznania. Ale tylko taką drogą mógł dotrzeć do tych, na których zdaniu najbardziej mu zależało. A że „Słonecznik” jest także literaturą piękną, to już zasługa talentu autora. I może siły żaru.

Oto co w niej. Bohater, Szymon, *parte parole* autora, w grupie żydowskich więźniów z obozu pracy na północno-zachodnich peryferiach Lwowa, jest prowadzony oczywiście nie wiadomo dokąd, okazuje się, że do lazaretu urzędzonego w doskonale mu znanym, klasycystycznym gmachu Politechniki. Po drodze widzi cmentarz wojenny. Niemiecki.

„Na każdym grobie stał wyprostowany, jak żołnierz, kwiat słonecznika. (...) I nagle zacząłem zazdrościć tym zmarłym żołnierzom. Każdy z nich miał swój kwiat słonecznika, który w jakiś sposób łączył go jeszcze ze światem, miał motyle odwiedzające jego grób. Ja nie mogłem spodziewać się kwiatu słonecznika. Czekala mnie nędzna, byle jak wykopana mogiła, miałem leżeć na ciałach innych, a nade mną miały się piętrzyć zwłoki następnych zmarłych”.

Człowieka zniewolonego i przybitego („Wasza śmierć i nasza śmierć / to dwie inne śmierci” – pisał poeta Władysław Szlengel, który zginie w murach warszawskiego getta) czeka kolejne doświadczenie. Po upewnieniu się, że ma do czynienia z Żydem, pielęgniarka prowadzi Szymona do pokoju dawnego dziekanatu Wydziału Architektury. Tam w prowizorycznej separacie leży ciężko ranny dwudziestoparoletni Karl, ochotnik SS. Na przekór przekonaniom rodziców Karl wstąpił do Hitlerjugend, w rodzinnym domu w Stuttgarcie czuł się panem. Wcześniej słyszał o Żydach, niemal jak nie o ludziach, wpajano mu taką propagandę. W czasie wojny zobaczył Żydów jako ludzi na Krymie. Dwie ciężarówki Żydów. Zebranych całymi rodzinami w trzypiętrowej kamienicy. Mężczyźni, którzy tam mieli pozostać, pomagali esesmanom wnosić na górę kanistry z benzyną. Niemcy zamknęły kamienice i podpaliły... Do tych, którzy usiłowali skakać z okien, esesmani strzelali. Strzelał i Karl, jeszcze nie tak dawno marzyciel, człowiek wrażliwy, teraz morderca. Strzelał do rodziny z małym dzieckiem. I zobaczył. Wreszcie zobaczył. Co? „Oczy dziecka, które nie rozumiały dlaczego. Oczy, które oskarżały. Oczy, których się nie zapomina”.

Karlowi, bliskiemu agonii, potrzebny był Żyd. Chciał, żeby Żyd, nawet obojętne jaki, wierzący czy niewierzący, przebaczył mu w imieniu zabijanych Żydów. Szymon, choć nie odtrącił dłoni umierającego, odszedł w milczeniu. Dylematem moralnym dzielił się w obozie ze współwięźniami, po których niebawem pozostaną cienie, ze znajomym sprzed wojny adwokatem i pisarzem, z pobożnym rzemieślnikiem, potem, w Oświęcimiu, z duchownym katolickim. Mało, za mało argumentów za i przeciw.

To co przyszło mu ongi przeżyć, Wiesenthal dzień w dzień wciąż na nowo przeżywał, szacował, rozważał, próbował wyważyć. Aż w końcu zadał pytanie, na powierników i w jednej osobie sędziów wybierając najmądrzejszych, najuczciwszych, najlepszych w swojej sztuce ludzi współcześnie z nim żyjących na świecie. Oraz tych, którzy również musieli przeżyć rzeczy straszne. Zadał im pytanie w formie opowieści o sobie sprzed lat, jako o kims, kto miał być ofiarą do końca i kto jest przedstawicielem milionów ofiar – w konfrontacji z jego rówieśnikiem, katem, przedstawicielem milionów katów, wyznaczonych przez nazistowskich arcykatów do zgładzenia z powierzchni ziemi „niearyjczyków”. Kat umiera. Kat ma ostatnią prośbę: „Przyprowadźcie mi Żyda” – wręcz żąda (bo przyzwyczajono go żądać).

Włoski pisarz Primo Levi, były więzień Auschwitz, w komentarzu nie ma wątpliwości, że

choć wszystko działo się „w świecie, który zachwiał się w posadach, i w atmosferze przeziębionej zbrodnią”, to jednak Wiesenthal, jako przedstawiciel całego narodu żydowskiego okryłby się winą, gdyby udzielił temu konającemu rozgrzeszenia... „i dzisiaj żałowałby Pan tego może bardziej niż niespełnienia jego prośby”.

„Wszystko ma swoje granice, również przebaczenie – napisał do Wiesenthala Hermann Kesten. I nieco dalej: – Czy ktokolwiek ma prawo przebaczyć ludobójcy? Komu wolno wypowiadać się w imieniu ofiar? Czy słusznie czyni matka, patrząc jak morderca cynicznie zabija jej siedmioro dzieci i przebacząc, kiedy on okazuje skruchę, usłyszawszy od lekarza, że podczas rzezi skaleczył sobie palce i wkrótce umrze na zakażenie krwi?”

Kesten doskonale wiedział, co chce podkreślić, akcentując w swej wypowiedzi pod koniec lat sześćdziesiątych:

„Państwo, które przebacza ludobójcom, stoi na krawędzi upadku”.

Do jednego z kolejnych amerykańskich wydań „Słonecznika” już po roku 1993 dołączono komentarz Eugene J. Fishera, który zajmował się stosunkami katolicko-żydowskimi z ramienia Konferencji Biskupów Katolickich. Fisher mówi wprost, „że szczytem arogancji ze strony chrześcijan jest prosić Żydów, by im przebaczyli. (...) Stawianie Żyda w tak bolesnej sytuacji jeszcze bardziej go pognebia. Taki był, jak sądzę, ostatni grzech umierającego hitlerowca”. Dalej Fisher, jako uczestnik spotkania Międzynarodowego Katolicko-Żydowskiego Komitetu Łączności w Pradze, przywołuje oficjalne i w imieniu Kościoła powszechnego stwierdzenie kardynała Edwarda I. Cassidy’ego z Komisji Stolicy Apostolskiej do Spraw Stosunków Religijnych z Judaizmem, „że jego właściwą postawą po holokauście jest «skrucha» (*teshuvah*)”. Wyjaśniwszy, że kardynał użył hebrajskiego terminu biblijnego, żeby podkreślić swoje intencje, Fisher dodaje, że w grudniu 1990 r. papież Jan Paweł II oficjalnie i jednoznacznie uznał stwierdzenie kardynała Cassidy’ego za własne.

Skrucha.

To z tej strony. Przywódca duchowy i władca Tybetu, wielki wygnaniec, laureat Pokojowej Nagrody Nobla, Dalajlama, w komentarzu do „Słonecznika” uważa, że wybaczać należy. „Nie musi to jednak oznaczać, że należy o popełnionych zbrodniach zapomnieć. Wręcz przeciwnie, trzeba stale mieć je w pamięci, by zapobiegać powtórzeniu się takich okrucieństw w przyszłości”.

„Jestem historykiem, a nie moralistą – odpisał w tonie przyjacielskim Leon Poliakov – a Twoja nowa książka stawia przede wszystkim pytanie etyczne”. W związku z tym, „że historia uczy sceptycyzmu”, uczony jest blisko postawienia wniosku, „że esesmani nie osiągnęli absolutnego stopnia zła (jeśli coś takiego w ogóle istnieje), a nowy element, jakim było «ostateczne rozwiązanie» (nazistowskie „rozwiązanie kwestii żydowskiej”), wynikał bardziej z technologicznych możliwości XX wieku niż z ludzkiego zła. Dlatego uważam, że Twój esesman Karl zasługiwał na łaskę w równie dużym (albo w równie małym) stopniu jak Kozak owładnięty szałem pogromów, oprawca z czasów Chmielnickiego albo turecki żołnierz, który w latach 1915–1916 mordował Ormian”.

Alan L. Berger, który na amerykańskich uniwersytetach od lat prowadził zajęcia na podstawie „Słonecznika” Wiesenthala, zauważając, że „sprawy poruszane w tej książce wydają się nierozwiązywalne”, wie jednak, co sam zrobiłby na miejscu Szymona: „nie wybacza komuś, komu przebaczać zakazano. Judaizm naucza, że są dwa rodzaje grzechów: grzechy popełnione przez ludzi przeciw Bogu, *beyn adam le-makom*, i grzechy popełnione przez ludzi przeciw innym ludziom, *beyn adam le-adam*. Wolno mi przebaczyć komuś, kto zgrzeszył przeciwko mnie. Nie mam prawa przebaczyć komuś, kto pozbawił życia drugiego człowieka”.

Berger, powołując się na nowsze badania, z których wynika, że jednak nie wszyscy Niemcy w mundurach wykonywali rozkazy, i niekoniecznie musieli strzelać do wyskakujących z płonącego domu, „przyjmowali moralnie słuszną postawę i nie byli karani. O wiele trudniej jest postępować moralnie niż niemoralnie”.

Chińczyk Harry Wu, intelektualista, który sklasyfikowany na podstawie donosu jako pracownik, aresztowany, spędził 19 lat w chińskich więzieniach nazywanych obozami pracy, po wyjściu na wolność w 1979 r., idąc za nieodpartą potrzebą konfrontacji z towarzyszką Ma, której donos zniszczył mu życie, odnalazł ją. Towarzyszka Ma miała się świetnie, awansowała, zaszła daleko. „Wcale mnie nie przepraszała ani nie prosiła o przebaczenie. «Już po wszystkim – powiedziała do mnie. – To, co się stało, należy do przeszłości. Cały kraj ucierpiał, nasza Partia także. Były straszliwe błędy. Cieszę się bardzo, że wróciłeś. Możemy dokonać czegoś razem w przyszłości»”.

Koszmar.

„«Nie wszystkich z nas udało się wam zniszczyć» – powiedziałem do niej cicho”.

Jeszcze jedno: Harry Wu nie przeżyłby stłoczony z innymi w baraku ostrej zimy w bagnistym obozie w Qinghe, gdyby nie nowy strażnik, kapitan Cao. „Nie wiem, dlaczego kapitan Cao okazywał nam życzliwość. (...) Jak to możliwe, by ktoś taki jak kapitan Cao żył w tym samym społeczeństwie co towarzyszka Ma? (...) Aby przetrwać w ówczesnych Chinach, trzeba było wyrzec się sumienia i człowieczeństwa. Kapitan Cao był w tamtych czasach odmieńcem. Do dziś nie wiem, jak postępując w ten sposób, zdołał uniknąć aresztowania i kary. Społeczeństwo stworzone przez komunistów było urządzone tak, aby pozbawić ludzi wszelkich znamion człowieczeństwa. Podobnie jak Szymon Wiesenthal, ja także nie wybaczyłbym umierającemu hitlerowskiemu żołnierzowi. Potrafiłbym mu jednak powiedzieć: «Rozumiem, dlaczego byłeś częścią strasznego i zdeprawowanego społeczeństwa. Za własne czyny odpowiadasz ty sam, ale wszyscy członkowie tego społeczeństwa są za nie współodpowiedzialni»”.

I tak sprawa pozostaje otwarta. Zakończę refleksją i apelem Szymona Wiesenthala, człowieka ocalającego pamięć tych, po których miał pył nie pozostać, i choć wychodził zwycięsko z prób oddania sprawiedliwości, potrafił przyznawać się do błędów, których unika tylko ten, który idzie w oryginale utartym szlakiem:

„Kwestia przebaczenia będzie istnieć nadal po wszystkich procesach, a nawet i wtedy, kiedy zbrodnie nazistów dawno już będą należeć do zamierchłej przeszłości. (...) Bo wydarzenia, z których owo pytanie się zrodziło, mogą się powtórzyć. Wiem też, że wielu ludzi mnie zrozumie i zaakceptuje moją postawę wobec umierającego esesmana. Wiem też, że równie wielu będzie mnie osądzać, bo nie ulżyłem cierpieniom konającego mordercy, mimo że okazał skrucę”.